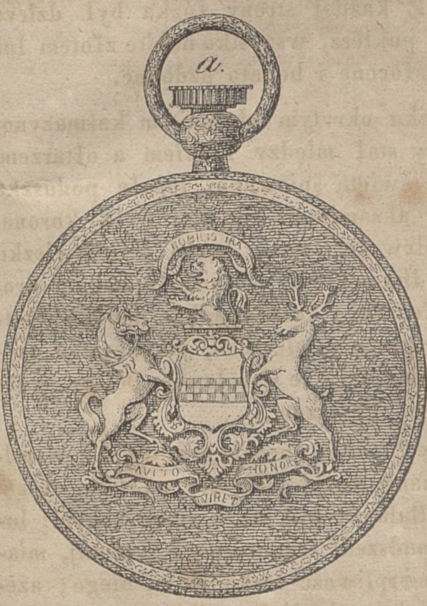
Nr. 43. **Rok 14.**

PRZYJACIEL LUDU.

Leszno, dnia 23. Października 1847.

Zegarek z fabryki Patek et Comp. w Genewie. — Pamiętniki Jana Choisnin. — Wiersz: Czas. — Panna Postępowa (ciąg dalszy). — Nowiny literackie.



Spód zegarka.



Busola.



Cyferblat.

Zegarek z fabryki Patek &. Comp. w Genewie, ofiarowany Lordowi Dudley-Couts-Stuart przez emigracyą Polską.

Arcydzieło to sztuki zegarmistrzowskiéj i rzeźbiarskiéj, zawierające wiele nowych mechanizmów, sprawiło niezmierny podziw między znawcami i artystami w Londynie. Dziennik Ilustracya, wychodzący w Londynie, natychmiast podał rysunek zegarka i rozszerzył się z wielkiemi pochwały. Zaiste dotąd niewidziano nic podobnego. Oprócz najdokładniejszych wymiarów czasu, zegarek ten zawiera jeszcze busolę, umieszczoną w guziku, pod literą *a*. Nie nakręca się kluczykiem, lecz za pomocą guzika, który dotąd zwykle służył do zawieszania zegarka. Cyferblat wyobraża dwie pełne wyrazu postacie otoczone jedenastą herbami, z których każdy godzinę oznacza; godzina dwunasta przypada na krzyż korony. — Z drugiéj strony jest piękny herb Lorda, z właściwą jego familii dewizą. — Niniejszy wizerunek tego osobliwego zegarka winniśmy nieporównanemu Panu Oleszyńskiemu, który również niepospolitéj sławy używa za granicą.

Pamiętnik Jana Choisnin.

(Ciąg dalszy.)

Należy wiedzieć, że Xiądz Cyre, przez sześć lat poselstwa swego, użył zręcznie starań i wszelkich zabiegów do osiągnienia korony Polskiéj dla Arcyxiążęcia Ernesta, i był tego nawet pewnym; że zaś nie domyślał się, żeby Pan Balagny był także wysłanym do Polski, w téjże saméj sprawie, wszystko mu codzień wyjawiał, jakby oba jednemu Panu służyli: co było przyczyną, iż przez czas niejaki nie odważył się Pan Balagny rozpoczynać negocyacyi, obawiał się albowiem jużto, że mu czas nie wystarczy, aby mógł stanąć we Francyi, jużto lękał się, że gdyby odkrył przyczynę swego przyjazdu, użyłby Cesarz wszelkich sposobów przeszkodzenia, iżby nikt do Króla przybyć nie mógł. Nakoniec namyśliwszy się, przestał na głoszeniu wszędzie przymiotów i waleczności Xcia Andegaweńskiego, i na obligowaniu synów Kanclerza, aby do strony Francuskiéj przystali i jéj się trzymali, przekładając im, ileby zaszczytu mieli z usługi dopełnionéj tak wielkiemu i cnotliwemu Xięciu. Co uskuteczniwszy, wybrał się jak najspieszniéj w podróż na powrót, a sądząc, iż mniéj znajdzie przeszkody morzem, niżeli lądem, i że przy dobrym wietrze za dni dziesięć w Dieppie będzie, pojechał do Gdańska, lecz dopiero po widzeniu wszelkich obrządków, odbywanych przy zwłokach nieboszczyka Króla, które odprawiano w następujący sposób:

W wielkiéj sali, zewsząd obitéj czarném suknem, złożono ciało na obszerném łożu, okrytém kołdrą utkaną w złoty kutner i spuszczoną w koło na posadzkę; Król miał spodnie i szlafrok z atlasu karmazynowego, na wierzchu suknią długą adamaszkową w karmazynowym kolorze; na głowie duchenkę okrągłą z atłasu karmazynowego, obówie z złotogłowiu, twarz i ręce odkryte. Z każdéj strony łóżka był dziryt, rękawice i puklerz, wszystko nabite złotem lub dobrze wyzłocone i bogato ozdobne.

Na stoliku okrytym aksamitem karmazynowym, który stał między łóżkiem a ołtarzem, gdzie Mszę świętą śpiewano, leżała poduszka z takiegoż aksamitu. Na niéj była korona, szpada królewska, pas, berło i rękawiczki, wszystko z litego złota, wysadzone bogato drogiemi kamieniami; leżało także jabłko złote z małym krzyżem u wierzchu, jak Cesarze używają, co dowodzi, że Królowie Polscy sądzą się być równi Cesarzom.

Wszyscy Panowie obecnie przy dworze wszelkiego wyznania znajdowali się na tym obrzędzie. Pan Balagny był także zaproszonym: lubo czas już nadszedł rozpoczęcia ceremonij, miano jednak cierpliwość czekania na niego; ażeby, jak się zdaje, doniósł o téj grzeczności Królowi.

Gdy wielki Jałmużnik skończył Mszę św., Biskup Krakowski, ubrany w żałobną kapę z aksamitu czarnego, odbierał królewskie ozdoby, podawane mu ze stolika, szpadę trzymał Referendarz, koronę Podkanclerzy Litewski, jabłko Trocki, Krajczy W. K., rękawiczki pierwszy Dworzanin, który, gdy Biskup wkładał też znaki na Króla, czytał z książki, co znaczyły owe ozdoby. Łoże, na którém leżał nieboszczyk, otoczono mnóstwem świec i pochodni. Xięża dzień i noc śpiewali, a szlachta według

zwyczaju była na straży przy zwłokach do 3go dnia — a każdy mógł widzieć ciało królewskie przez tenże czas — po którym musiano dla upału pogrześć je w drewnianéj trumnie, nie mogąc ołowianéj tam sporządzić. Z ciałem pochowano razem, jak się zdaje, ozdoby królewskie, srebrne i wyzłacane; bo jest zwyczajem u nich kłaść do grobu znaki panującego.

Pan Balagny po widzeniu całego obrządku, pożegnał się z wszystkimi Panami, zjednawszy sobie przyjaźń wielu. Chcąc zaś daléj prowadzić rozpoczęte dzieło, zostawił mnie w tym kraju z trochą pieniędzy; gdyż sam miał mało; lecz przyjaciele, których pozyskał serca, a szczególniéj Erazm i Kasper Bniński i ich rodzice, chętnie mnie przyjęli; i na niczém mi nie zbywało, aż do przybycia Biskupa Walencyjskiego. W jego towarzystwie miałem wstęp do godnych domów, w których często rozmawiano o teraźniejszym Królu Polskim, a tym sposobem wielu szlachty zaczęło kochać Xięcia, o którym zawsze słyszeli nas dobrze mówiących.

I kiedy do Polski przyszła wiadomość o rzezi Śgo Bartłomieja, musiałem z usilnością odpowiadać ustnie i pismem. Chociaż dokładnie bywałem uwiadomiony o wojnach naszych domowych, jednak wypadało w posiedzeniach przekonywać, iż należało zwalać winę na lud i niektórych mających osobiste urazy, — wreście odwoływałem się do przyjazdu Biskupa Walencyjskiego, którego Polacy *kulawym* nazywali, (był też nim istotnie) i zapewniałem ich, że wspomniony Biskup przybędzie, i że od niego dowiemy się o prawdzie całéj téj okoliczności.

Wracam znów do Pana Balagny, który wyjechał z Knyszyna, na końcu Czerwca, a czwartego dnia stanął w Pułtusku: jest to miasto piękne; położone nad Bugiem, rzeką Litewską, wpadającą do Wisły o cztery mile od Warszawy. Miasto to należy do Biskupa Płockiego; od którego Pan Balagny został bardzo ludzko przyjęty, i tyle dobrych rzeczy od niego usłyszał, jak od nikogo dotąd. Pana Charbonneau i Głoskowskiego, Polaka, przybyłego z nim do Paryża, wysłał z listem Pana Balagny, do Infantki zostającéj w Błoniu, prosząc uniżenie, iżby pozwoliła oddać sobie pokłon. List ten był czytany przed Biskupami, strzegącymi ją, rozkazała więc Marszałkowi odpisać swojém imieniem. W odpowiedzi to tylko wyrażono: iż dla okoliczności teraźniejszych, zostając jakby pod opieką Senatorów, z nikim niechce bez nich rozmawiać: prosiła, by ją miał za wymówioną, że go nie przyjmuje, a w innym zaś czasie da mu poznać, ile poważa sługi Króla Francuskiego.

Charbonneau rozmawiał z Marszałkiem i z Lekarzem dworskim o wypadłych zdarzeniach: tyle znalazł w nich dobrych chęci, że mu przyrzekli donieść to wszystko, co żądali od swojéj Pani — oświadczenie zaś to było szczere, gdyż i oni naszą utrzymywali stronę.

Biskup Płocki radził Panu Balagny puścić się wodą, dla uniknienia miast zarażonych. Kazał przygotować swój statek dobrze opatrzony i ozdobiony, na którym Pan Balagny w dalszą udawszy się drogę, przybył do Płocka. Jestto piękne miasteczko nad Wisłą. Referendarz, wyżéj już wspomniony, będąc Płockim Starostą, prosił o zatrzymanie się przez dni kilka, aby się mógł zabawić i uczęstować go; na co chętnie zezwolił, gdyż stąd aż do Gdańska nie było wolnego miejsca od zarazy, gdzieby mógł oczekiwać Pana Charbonneau, który wkrótce powrócił; Kanclerz użyczył statku opatrzonego we wszelkie na drogę potrzeby, dodając zalecające listy, lecz się na nic nie zdały, bo oddać ich zaraz nie można było; raz, by nie tracić czasu, powtórę, bojąc się niebezpieczeństwa zarazy, nigdzie na ląd nie chciał wysiąść, i dla tego nie był w Kujawach, lecz posłał do Biskupa Pana Charbonneau, ażeby się uniewinnić.

Biskup posłał mu 10. dworzan do niego, aby mu dać poznać, ile jest zmartwiony, iż w domu swoim nie mógł mieć Pana Balagny dla uczczenia go; i prosił go, aby przynajmniéj mieszkanie przyjął w pałacu biskupim pod Gdańskiem, gdzie będzie miał wszelkie wygody.

(Dokończenie nastąpi.)

Czas.

Czas, rączy goniec życia człowieka —
Obiega wiecznie słońca i światy,
W grób strąca ziemie — ludy — ucieka
I znów na gruzach rozsiewa kwiaty.

Człowiek, pan świata, na skrzydłach jego,
Dumny usiada — myślą wyściga,
Chwilka.... już upadł do grobu swego —
Jak robak w pyle ziemię zalega.

Śmiało — zuchwale bieg czasu mierzy,
Na dni — miesiące, lata i wieki,
Cieszy się życiem — w tém śmierć nadbieży,
Dusza ucieka gdzieś w kraj daleki.

Żyje nadzieją — o szczęściu marzy —
Co rok, co dzień się czegoś spodziewa —
Rozkoszną chwilkę, jeźli się zdarzy,
Ciśnie do serca — czas ją porywa.

Co rok to inne plany układa,
Co rok się nową poi nadzieją,
Aż zawiedziony żałobę wkłada!...
Kiedyż dni lepsze nam zajaśnieją?! —

H. Feldmanowski.

Panna Postępowa.

(Ciąg dalszy.)

— Co to mamie? zapytała córka całując ją w rękę.

— Ach! moja Saluniu! odpowiedziała pani S*, jeszcze drżę na wspomnienie snu, który mię zdręczył nad ranem. — Uśmiéchnęła się panna Salomea, co widząc matka, dodała: Uśmiéchasz się moje dziécię! Postrzegam ja to z żalem od niejakiego czasu, że ty w nic nie wierzysz.

— W sny nie wierzę, moja mamo, jak nie wierzę w strachy. Ale cóżto się mamie śniło? niech mama powié, to ja mamie wytłumaczę, co znaczy ten sen, i dla czego go mama miała.

— Źle to moje dziécię, że zaraz sobie wszystko chcesz wytłumaczyć, i to twoje nieszczęśliwe *dlaczego* często mię trapi.

— Czyż na to mamy rozum, aby go nie używać? Cóżby można powiedzieć o człowieku, gdyby oczy, które mu dano do patrzenia, zamknął, i tak chodził omackiem?

— Nie chcę ja z tobą rezonować, boś ty rozumniejsza odemnie, odpowiedziała matka smutno, ale to wiém, że teraz ze strachem zasypiać będę, bojąc się snów nowych. O ciebie w nich idzie moja Saluniu, i nie dziw się, że mię widzisz strwożoną i zapłakaną.

— Cóż tedy mamie się śniło? niechno mama powié! Pytanie to było skutkiem dobrego serca panny Salomei; wiedziała ona, że to matce ulży, gdy się wygada.

— Śniło mi się, moje życie, rzekła pani S*, żem chodziła z tobą po łące, gdzie było mnóstwo najpiękniejszych kwiatów. Tyś je zrywała, ale wprzód nim miałaś się niémi ozdobić i ucieszyć się ich wonią i barwą, odginałaś listki i śpilką szukałaś tam czegoś we środku. Zrobiłam ci uwagę, że tym sposobem psujesz tylko kwiatki, któremi Bóg tak cudnie ubrał łąkę. Ty wtenczas uśmiéchnęłaś się tak, jak teraz się uśmiéchasz. Mnie to obraziło, a raczéj zasmuciło: zadrżałam w głębi duszy nie wiém dla czego, i zdobywszy się na odwagę, zaczęłam ci mówić dużo i głośno, ale już teraz nie pamiętam, o czém. To tylko wiém, że słowa moje płynęły bystro jak fala, a w sercu i w głowie zawsze było pełno, chociaż wylewały się potokiem. Widać jednak, żem musiała coś niedorzeczy powiedzieć, boś ty parsknęła ze śmiéchu.

— Ach! moja mamo! zawołała panna Salomea zmieszana i zawstydzona.

— Ale zaledwie rozległ się odgłos twego śmiéchu, gdy go odbiło jakieś szydercze echo; z ziemi, gdzieśmy stały, podniosła się zjadliwa i gęsta para; okrążyła cię, objęła, osłoniła — znikłaś mi z oczu. Gdym zaczęła krzyczéć, wołać cię po imieniu, wyciągać do ciebie ręce, biedz za tobą, nogi moje były splątane, głos tłumił się w piersiach, tylko łzy płynęły swobodnie — i tak obudziłam się spłakana. Salunia droga! jutro Sobota, pójdźmy obie do spowiedzi, dodała matka tuląc w objęciu ukochaną córkę i płacząc rzewnie.

— Niechno mama będzie łaskawa, siądzie, rzekła panna Salomea, całując jéj ręce. — Usiadły więc obie w otwartém oknie, a córka filozofka, z smutném okiem, z uśmiechem na prześlicznych ustach, tak mówiła do matki strwożonéj i zapłakanéj: Teorya snów, moja mamo, i wszystkich naszych przywidzeń jest następująca. W głowie naszéj jest warsztat, w którym każda władza, jaką obdarzeni jesteśmy, wykonywa swoję funkcyą. Czeladź ta póty wszystko robi sfornie i w porządku, póki dozórca tego warsztatu, rozsądek, czuwa i szykuje właściwie rezultata ich pracy. Dlategoto moja mamo, kiedy człowiek pijany bredzi, to znaczy, że wyziewy trunku afektują za silnie rozsądek, odbierają mu działalność i pozwalają bujać imaginacyi i pamięci. To samo się dzieje w gorączce, to samo w pomieszaniu zmysłów. W tym



Pogrzeb O'Cōnella w Dublinie.

ostatnim stanie nie imaginacya słabnie, nie pamięć; owszem, są one niezmiernie silne i w ciągłym ruchu, ale niéma regulatora, któryby obrazy w nich złożone i na nowo cisnące się uszykował i każdy z nich w następstwie logiczném umieścił. — Ze spuszczoną głową, ze splecionemi na kolanach rękami, słuchała matka téj analizy, a panna Salomea odchrząknąwszy, tak daléj mówiła: Otóż widzi mama, sen jest tylko odpoczynkiem ciała, ale i odpoczynkiem głowy i zatrzymaniem całego w niéj warsztatu myślenia. Póki czuwamy, rozsądek ciągle krząta się i pracuje, dlatego téż najwięcéj znużony, najpierwéj ustaje i spoczywa; późniéj pamięć, a na końcu dopiero imaginacya, władza najsprężystsza, najrzeźwiejsza ze wszystkich. Przy obudzeniu ona znowu najpierwéj się zrywa i swawoli, póki nie ocknie się rozsądek i nie przyprowadzi jéj do porządku. Stądto, moja mamo, sny przychodzą nam tylko przy zasypianiu i przy ocknieniu; stąd one nie są niczém inném, jak niesforném i nielogiczném powtórzeniem i zmieszaniem obrazów, które już były w głowie; stąd wszystkie wizye zdarzają się tylko w takim stanie pół snu, pół czuwania, lub po gwałtownem jakiém wysileniu uwagi i nadzwyczajném znużeniu rozsądzającéj w nas władzy. Widzi tedy mama, czy można do snów i przywidzeń przywiązywać jaką wagę, jakie znaczenie, kiedy one są wypadkiem naturalnym naszéj organizacyi? kiedy tak po prostu wytłumaczyć się dają? Cudów niéma moja mamo, a w przyszłości to tylko jest prawdą, co rozum może wyrachować.

— Więcéj nic? zawołała matka, podnosząc na nią oczy, z których łzy płynęły.

Zaledwie panna Salomea otworzyła usta, chcąc matce stanowczo odpowiedziéć, gdy powstał krzyk na dziedzińcu. Ludzie od bramy uciekali przestraszeni; za bramą zaś, na ulicy, rozlegał się tentent straszliwy i turkot rozpędzonego powozu. Matka i córka porwały się z miejsc swoich, wyjrzały w okno i obaczyły wpadającą na dziedziniec parę rozhukanych koni, które ciągnęły kocz otwarty. Rumaki były kare, okryte potem; dym buchał z ich nozdrzy rozognionych; pjana bryzgała z pysków, które już nie czuły wędzidła. Uprząż była także ciemna, kocz podróżny takiegoż koloru, ale dyszel złamany odbierał możność kierowania. Mimo to, stał w nim młody człowiek ze śmiałą postawą. Jedną ręką trzymał się lekko kozła, drugą ściągał cugle, które mu się co moment wyrywały. Jak łódka na falach, tak powóz bez dyszla rzucał się na prawo i na lewo. Młodzieniec jednak nie chwiał się bynajmniéj. Na twarzy jego pięknéj, ale nadzwyczajnie bladéj, nie widać było ani zmieszania, ani przestrachu. Czarne tylko i bujne włosy od wielkiego pędu rozwiewały się z wiatrem, a ciemne wąsy, zapięta pod szyję czarna suknia, odbijały jeszcze mocniéj marmurową bladość téj spokojnéj i wyrazistéj twarzy. Gdy przelatywał koło okna, w którym stały obie kobiéty, obrócił się nagle i panna Salomea ujrzała jego oczy, co jak dwa rozżarzone węgle ku niéj błysnęły. Przysiadła mimowolnie i dziwne zimno przeszło po całém jéj ciele. Ale była to tylko chwila, krótka jak błyskawica. Kocz poleciał daléj rzucany na prawo i na lewo. Niosły go konie prosto ku owemu kościółkowi, o którym wspomnieliśmy wyżéj. Raptem, postrzegłszy taką przed sobą zaporę, zwróciły się na prawo. Tym gwałtownym obrotem powóz zatoczył się silnie, całym impetem uderzył się o wystawę kościółka i rozleciał się w kawałki. Reszty, które się jeszcze trzymały, pociągnęły konie na drugi dziedziniec, skąd im już wyjście zamknięto, a ów młodzieniec wyrzucony pod powóz, został na miejscu bez zmysłów.

Krzyknęła matka, ale silniéj, głębiéj, przenikliwiéj krzyknęła córka. Gdy się upamiętały, wybiegły obie i zaczęły wołać ratunku. Już na drugim dziedzińcu ludzie ujęli rozhukane konie. Stały one teraz przy sobie ciche, potulne, drżące, jakby się téj swawoli i wyrządzonéj szkody wstydziły. Był tam właśnie major. Kazał je wziąć do stajni, i napatrzéć się nie mógł na te cudne stworzenia, których piękność przechodziła wszystko, co dotąd widział: a był to stary kawalerzysta i wielki znawca.

Tymczasem trzeźwiono zemdlonego młodzieńca, opatrywano jego ręce i nogi, i chociaż nigdzie nie było śladów złamania, naprózno jednak wszelkich używano sposobów, aby go przyprowadzić do przytomności. Leżał on na ziemi na wznak przy wschodach od kaplicy, o które się widać silnie uderzył. Matka krzątała się tam jak mogła, a córka stała z zaciśniętemi wargami, wpatrując się z wytężeniem

w jego twarz bladą i piękną, i oczekując niecierpliwie aż się otworzą oczy, których chwilowe mignienie tak ją mocno przejęło. Otworzył je nareszcie, spojrzał prosto na pannę Salomeę i znowu je zamknął, a pierś jego podniosła się ciężkiém odetchnieniem.

— Będzie żył, szepnęła jakby sama do siebie, a na twarz jéj wystąpił delikatny rumieniec i znikł w téjże chwili.

Nadszedł i major, kazał go podnieść i tak wpół przytomnego, otwierającego oczy i zamykającego je co moment zaniesiono do pokoju. Nim przybył lekarz, za którym w téjże chwili posłano, ojciec, matka i doświadczeńsi słudzy starali się ocucić młodzieńca z tak nadzwyczajnego zemdlenia, do którego ciągle powracał. Przez cały ten czas panna Salomea siedziała w témże samém oknie z załamanemi rękami, z okiem wytężonėm ku bramie wjazdowéj, nadstawiając ucha, czy się nie da słyszéć turkot powozu. Nareszcie, w półtory godziny po owém dziwném zdarzeniu, zabrzęczały kółka i dzwonki Krakowskich chomątów, bryczka wbiegła na dziedziniec i twarz panienki zakwitła jak róża na widok lekarza, który z niéj szybko wysiadał. Porwała się więc z miejsca, i tą razą nie zdając sobie bynajmniéj sprawy, dlaczego serce jéj biło, dlaczego twarz pałała, z szybkością łani wbiegła do sieni i pochwyciwszy za rękę zdziwionego eskulapa, zawołała:

— Ach! mój drogi panie! chodź pan, chodź pan prędzéj! To okropny wypadek!

Poszli więc. Panna Salomea ukazała mu pokój, gdzie leżał chory i nie śmiała tam wejść sama, ale wpuściwszy lekarza, usiadła przy drzwiach. Tak czuwając na każde skinienie, przyspieszała skutek dawanych ztamtąd rozkazów.

Stan młodzieńca nie był zdesperowany. Uderzenie gwałtowne wprawiło go w te ciągłe mdłości, z których powoli powracać zaczynał, ale wzburzenie silne całego organizmu, przytém irrytacya, któréj doznał, i którą widać siła woli pokonywał, gdy się konie zhukały i niosły go nie tam, gdzie pragnął, były przyczyną mocnéj gorączki, połączonéj z deliryą.

Użył lekarz stósownych środków, został przy chorym do wieczora, ale nakazał zupełną spokojność i zabronił wszelkiego wybadywania, wszelkiéj z nim rozmowy. Gdy wieczorem, już prawie o zmroku wyjeżdżał, uspokoił troskliwą panią S* i jéj męża, że jeżeli jutro nie rozwiną się symptomata jakiéj złéj gorączki, to chory za kilka dni przyjdzie do siebie i będzie mógł wychodzić z pokoju.

Panna Salomea nie śmiała mu żadnych robić pytań; słuchała tylko z największą uwagą, co mówił. Gdy po odjeździe medyka, rodzice siedzieli obok siebie i rozmawiali o tém szczególném zdarzeniu, ona chodziła ciągle po pokoju ze schyloną głową niespokojna i zamyślona. W uszach jéj tętnił bez przestanku bieg rozpędzonych koni, a imaginacya przedstawiała żywo, z całą okropną prawdą, to gwałtowne uderzenie, które zgruchotało powóz i wyrzuciło z niego śmiałego i pięknego młodzieńca. Wszakże i teraz nie przyszło jéj na myśl zapytać siebie, dlaczego była niespokojna? dlaczego o niczém inném myśléć, innego obrazu przedstawić sobie nie mogła? Zbliżyła się wreszcie noc głębsza, i rodzice urządziwszy pilny dozór nad chorym, udali się do spoczynku.

Położyła się i panna Salomea, i długo, długo zasnąć nie mogła. A gdy nareszcie ciało wzięło górę nad myślą i zamknęły się jéj powieki, sprawdziła się jéj teorya snów, i znowu te same obrazy z niezbędnemi przydatkami i w dziwném zmieszaniu dręczyły pochwyconą tak znienacka argumentatorkę. Widziała ona te same kare konie niesione pędem wichru; ale już nie para, lecz płomienie buchały z ich nozdrzy i otwartych pysków; widziała tego samego młodzieńca, stojącego w powozie, kierując niemi podług woli; ale na ustach jego był jakiś szyderski uśmiech, a oczy błyszczały jakimś dziwnym ogniem. Widziała tenże powóz rozpędzony, ale z pod kół jego warkoczących przeraźliwie, sypały się potoki iskier, i przerzynały się jak błyskawica chmury dymu, który się za niemi podnosił. I wszystko to nie działo się na rodzicielskim dziedzińcu, ale gdzieś na dzikich bezdrożach, wśród skał i nagich kamieni. Konie pędziły nie do owéj miłéj kapliczki, ale leciały prosto nad jakieś strome i straszne urwiska, nad przepaść, która dna nie miała. Przerażona tym ich kierunkiem, rzuciła się ku nim panna Salomea, i wtenczas znalazła się w powozie obok młodzieńca, który ją objął, uderzył lejcami po rozognionych rumakach i razem z nią rzucił się w przepaść. Tak lecieli długo, zawsze na dół, na dół, bez końca: i nic nie było słychać w około, tylko

świst gwałtownego ich pędu; nic nie było widać, tylko przestrzeń bez granic, wpół jasną, wpół ciemną, bez światła, bez koloru. Zmęczona tym snem okropnym panna Salomea, z głuchym jękiem otwarła oczy, i obaczyła przed sobą matkę ze świécą, w jednéj koszuli, z twarzą przelękłą i bladą.

— Co to jest mamo? zapytała siadając i cisnąc serce dłonią. Czy on umarł?

— Kto? moje dziécię.

— Ale ten chory, rzekła spuszczając oczy. Miałam sen okropny.

— Nie kochaneczko on usnął. Ale ty jęczałaś bardzo. Przestraszyłam się i przyszłam cię obaczyć. Co ci jest mój aniołku?

— Nic mamo, odpowiedziała zawstydzona, jakąś duszność czuję. Niech mama się położy, dodała całując matkę, ja pójdę trochę do okna, na świéżém powietrzu będzie mi lepiéj; tu strasznie gorąco.

— Odziéj się przynajmniéj i nie siedź długo.

— Nie mamo, tylko trochę się odświeżę. — Matka poszła do sypialnego pokoju. Panna Salomea narzuciwszy na siebie szlafroczek, wsunąwszy białe i śliczne nóżki w miękkie pantofelki, zrzuciwszy czépeczek z głowy i rozgarnąwszy gęste swe włosy na czole białém i zamyśloném, poszła do drugiego pokoju, otworzyła to samo okno, w którém siedziała rano, i patrzyła na świat piękny i széroki. Niebo było błękitne i głębokie; księżyc płynął sobie spokojnie i w milczeniu, gwiazdy rzadko drgały gdzieniegdzie brylantowém światłem na tém polu bez granic. Ciepło było, świeżo, spokojnie w naturze całéj. Cichość zupełna była na ziemi, tylko lipy szumiały zlekka, tylko żabki w dalekim stawie przerywaną między sobą prowadziły rozmowę. Usiadła tam panna Salomea, podparła głowę na dłoni, patrzyła na ten uroczy widok, i widziała kare konie rozpędzone, bladą twarz młodzieńca i oczy jego ogniste ku niéj zwracające się. Dlaczego nie widziała nieba, księżyca, gwiazd, dlaczego nie słyszała szmeru lip tak bliskich, i nie zajęła się melancholicznym gwarem skrzeczących zdaleka żabek? także tą razą nie zdawała sobie sprawy.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Nowiny literackie.

Wyszły w r. b. następujące dzieła:

W Warszawie:

1. W Alpach i za Alpami przez Ł.[ucyą] z G.[iedrojców] R.[autenstrauch], 8ka, 3 tomy. Warszawa 1847. Nakład Fr. Spiess i Spółki. Druk Kom. Rząd. Z sześciu rycinami ze stali. Złtp. 30.
2. Przejażdżki po kraju. Powiastki i obrazki Ad.[ama] Am.[ilkara] Kosińskiego, 12ka, 3 tomy. Warszawa 1847. Nakładem Henryka Natansona, druk Komissyi rządowéj sprawiedliwości. Złotp. 20.
3. Powieści staroślacheckie. Skice przeszłości przez Ad. Am. Kosińskiego, 12ka, 3 tomy. Warszawa 1847. Nakładem Merzbacha. Druk Strąbskiego. Złotp. 20.
4. Dzieje Krzyżaków, oraz ich stósunki z Polską, Litwą i Prussami, poprzedzone rysem dziejów wojen krzyżowych, czerpane z najlepszych źródeł i ozdobione 12 rycinami. Poszyt 14. Warszawa 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda, księgarza i typografa. Prenumerata na całe dzieło złotp. 40. Do tego zeszytu dołączają się ryciny: 1. Kiejstut w więzieniu. 2. Jadwiga ofiarująca swoje kosztowności. 3. Władysław Jagiełło po bitwie pod Grünwaldem. 4. Kazimierz Jagiellończyk.
5. Pamiątki historyczne krajowe przez Karola Milewskiego, Członka towarzystwa naukowego, połączonego z uniwersytetem Jagiellońskim w Krakowie. Warszawa 1847. Nakład i druk S. Orgelbranda. Złotp. 14.
6. Grammatyka Polska, wydana w skróceniu przez Teodozego Sierocińskiego, professora języka Polskiego i literatury w instytucie Alexandryjskim. Część I. i IIga. Warszawa 1847. Nakład Łukasza F. Szczycińskiego. Druk Tow. Missyonarzy Angielskich. Złotp. 1 gr. 10.
7. Zasady języka Polskiego, wyłożone praktycznie dla dziewcząt, na wzór grammatyki pana Sardou, należącéj do kursu edukacyi domowéj dla dziewcząt w Francyi. Część pierwsza przez Emilię G. Warszawa 1847, w drukarni S. Orgelbranda. Złtp. 4½.
8. Wykład nauk, przeznaczony do pomocy w domowém wychowaniu panien przez Żmichowską. Część przedwstępna. Warszawa 1847. W drukarni Stanisława Strąbskiego. Złotp. 9.

W Wrocławiu:

Mikołaja Krysztofa Radziwiłła pielgrzymka do ziemi świętéj, tłómacz. przez X. Andrzeja Wargockiego. 8ka, Wrocław 1847. Nakładem Zygmunta Schlettera. Druk C. Storcha i Spółki. Złotp. 9.

W Królewcu:

Słownik podręczny wyrazów obcych i rzadkich, w języku Polskim używanych. Spisał i objaśnił Xaw. T. A. E. Łukaszewski, publiczny nauczyciel języka Polskiego, 8ka. Królewiec 1847. Nakładem braci Borntregerów. Druk E. J. Dalkowskiego. Złotp. 10.

W Lipsku:

1. Posłannictwo kobiety, przez panią F. Trębicką, autorkę Pamiętników Polki, Gibelinów i t. d. 16ka, Lwów. Stanisławów i Tarnów 1847. Nakład Jana Milikowskiego, druk T. A. Brokhausa. Złotp. 6 gr. 20.
2. Dla posagu. Powieść z życia towarzyskiego przez J. D. 2 tomy, Lipsk 1847. Nakładem Gebhardta i Reislanda. Złotp. 12.

Dzieła te są do nabycia przez księgarnie Ernesta Günthera w Lesznie i Gnieźnie.

Nakładem i drukiem Ernesta Günthera w Lesznie. (Redaktor: Dr. Szymański.)